TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie............$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie............$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 27. *Chicago, Ills., 30 Grudnia, 1886 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Chłopak umilkł. — Było znieść! — westchnęła Hruzdzina — a nie rwać się na pańskie dziecko, a nie zapominać, co on a co my. Cóż teraz począć? Stary Hruzda do chaty cię nie przyjmie, będzie się bał i do dworu odprowadzi. Jak się na ich ręce dostaniesz, to cię śmiertelnie skatują. Co ja pocznę, co ty poczniesz! A! Janek, Janek!

— A! Matuś nie lamentujcie — przerwało chłopię ściskając ją za nogi. — Jakbyście wy jeszcze za mnie cierpieć mieli, wolałbym się im sam zaraz w ręce oddać, przecie mnie na śmierć nie ubiczują. Osieką starsi, to zniosę, przeciw sile nie ma rady, tylko od tego malca nie mogłem ścierpieć, aby nademną przewodził.

— Ja znam ich, — litości mieć nie będą! — rzekła stara, a co ja tu pocznę! co pocznę! Tobie się we wsi nie pokazywać. Słuchaj Janek, niema rady, do jutra przynajmniej kędyś schować się trzeba. Jutro zobaczymy i pomyślimy. Na chatę biedy naprowadzać nie można, Hruzda by mi nie dał spokoju; chyba w polu przenocujesz, a noc zimna.

— O! wielka rzecz! — rozśmiał się Janek — albo to pierwszyzna... w rów się wcisnę...

— A i sukmanki nie masz, to zmarzniesz — rzekła Hruzdzina zdejmując powoli przyodziewek, który na siebie narzuciła była z domu wychodząc... Weź to, weź; ja do chaty dojdę i tak, stary się nie postrzeże, okryjesz się, będzie ci lepiej; nie przyznam się nawet, żem cię widziała, no — a jutro — jutro... trzeba rady i natchnienia Bożego czekać...

— Nie, nie — odparł Janek — już okrycia to nie wezmę, jak Bóg miły nie. Noc mi nie straszna. Znajdę stóg siana, albo słomę na polu, wkręcę się we środek, i będzie mi jak w uchu...

— Ale co jutro! co jutro! — lamentowała staruszka — ja tych ludzi znam; pan tak łatwo nie przebaczy, a choćby ci zwolniał, to jejmość za dziecko jedyne będzie go do pomsty namawiała... Skatują cię i skaleczą, nie — nie! ja cię nie dam na ręce katowskie... ale cóż począć — cóż począć?

Janek westchnął. — Ponoś mi ztąd trzeba będzie iść, szepnął — ale wola Boża. Samiście mówili, żem ja nie tutejszy, nie ich poddany, prawa do mnie żadnego nie mają.

— A! tak, święta prawda — przerwała kobieta — oni nie, alem ja cię od maleńkości wychowała, i byłeś mi jak dziecko rodzone, gdy Bóg własnych nie dał dzieci... Ja do ciebie prawo mam... I cóż mi z niego? co mi z niego?

— Moja matuś — zawołał Janek — albo to ja choć oddalony wasz nie będę? albo to ja zapomnieć kiedy potrafię, co wam winien?...

— Co mi z tego, gdy cię oczy moje nie będą widziały — mówiła stara. — Myślałam sobie zawsze: My dzieci nie mamy, krewnych nie mamy blizkich, to kiedyś i stary byłby — choć nie lubił cudzego dziecka — przyszedł do mej myśli: i bylibyśmy ci grunt oddali, i byłbyś mi oczy zamknął. A teraz...

Stara zapłakała.

— Nie, rzekła wstając — o sobie myśleć nie godzi się, jutro o nas i losie naszym postanowimy. Weź sukmanę.

— Nie wezmę — zawołał Janek całując w rękę Hruzdzinę, — ino gdzie mi być każecie?

— Sukmanę weź, jam trzy kroki od domu, a noc zimna — nalegała stara.

— Matuś, nie mogę; jam młody, mnie krew grzeje, a wam po nocy wracać, tobyście kaszlu waszego nabrali.

Mieć ja go i tak będę z samego płaczu — rzekła stara. — A no słuchaj niedobry chłopcze: — We dniu ci się nie pokazywać. Idź do drugiej wioski, niby za owcą przepadłą. Znasz na drugim Prądniku kumę Malichowę; powiedz jej wszystko, oni cię przytulą, a o mroku ja tam będę.

Noc była już, jak na wsi późna; stara pocałowała chłopca w głowę, westchnęła i poszła, a Janek jeszcze ją do opłotków miedzą poprowadził, aby się nie bała, i pocałowawszy w rękę, gdy go żegnać chciała rzucając mu sukmanę, nie wziąwszy jej zniknął.

Głupi Janek, gdyż tak go powszechnie we wsi zwano, miał, gdy się to działo, lat trzynaście, a od dziewięciu już wychowywał się u Hruzdów. Dziecko było sierotą i zupełnie nieznanych rodziców; dziwnym też sposobem dostało się do chaty, której gospodarze dobrowolnie je przyjęli i prawie za własne przysposobili. Osobliwie stara Hruzdzina, która nie miała tylko jednego synka, a ten jej zmarł w pieluchach, znalazłszy w Janku przypomnienie utraconej dzieciny, przywiązała się do niej z prawdziwie macierzyńską czułością.

Dziewięć lat temu jednego wieczora stary Hruzda powracał z Krakowa po piekielnej drodze jesiennej, długiemi deszczami rozbitej i grząskiej, gdy nieco podal od chaty swej na gościńcu postrzegł wózek, który ze złamaną osią leżał przechylony na bok. Chodził około niego mężczyzna jakiś, i lamentował a klął na przemiany. Było to w obyczaju dawnych ludzi, iż sobie najwymyślniejszemi przekleństwy ulgę w biedzie czynili; pospolita mowa miała na ten cel cały słownik wymyślnych wyrażeń, wielce dobitnych. Uczył się ich każdy słuchając z młodu, i posługiwał w potrzebie, choć się później z tego spowiadał, bo księża na spowiedziach,

znając nałóg, pytać nieomieszkiwali. Nie dziwby było, gdyby prosty lud z pogańskich podań jeszcze pochwycony klątwy w nieszczęściu narzekał; ale senatorowie i szlachta również się nie wstydzili, kląć co wlazło, gdy się im co na przekór stało. Szlachcic stojący około wózka piorunował aż strach. — A! bodaj z piekła nie wylazł, kto tę oś robił i kuł; bodaj go siarczyste, bodaj zczesł, zmarniał jucha, niegodziwiec; przeklęty wóz, we złą godzinę kupiony...

— Cóż to się stało? — spytał zbliżając się Hruzda.

— Albo to nie widzisz? ślepyś! co! oś mi trzasła... gdzieś baba drogę przeszła, dzień feralny, a tu noc i gościniec jakby prowadził do piekła.

— A gdzież woźnica? — rzekł Hruzda — czy go jegomość posłał?

— Nie posłałem, bo go nie mam; jam sam pan, sam woźnica; nie lubię, aby mnie kto pilnował, nie mam nikogo.

— A zdaleka to jegomość? — szepnął gospodarz.

— Ot! patrzcie go! będzie mnie brał na spytki; a co ci do tego? Chcesz pomódz, to Bóg zapłać, a nie, daj mi pokój święty i ruszaj w swoję drogę.

Hruzdzie się go żal zrobiło; para koni tęgich po kostki stała w grzęzkiej kałuży, sam pan brodził w niej chodząc w około i nie wiedząc znać, co począć...

— Wiesz jegomość co? — rzekł — wyprzężmy konie; tu niedaleko mój chlewek i stajenka, rzeczy z wózka zabierzemy, a wóz do jutra trzeba zostawić, bo mu po nocy rady nie damy. Oś się do dnia podprawi, i pojedziecie, a u mnie w chacie na stole, czy na ławie, czy na sianie w izbie, spoczniecie.

Szlachcic milczał i dumał, pocichu wszakże zdawał się kląć jeszcze... Nie miał do wyboru, musiał przyjąć ofiarowaną gościnę. Zajął się więc Hruzda razem z nim wyładowaniem wózka, w którym było trochę rzeczy, wyprzężeniem koni, i zaprowadził gościa do domu.

Ponieważ się ciekawych z poblizkich chat zebrała była kupka, pchnął przodem chłopaka do żony, dając znać, że z obcym człekiem przybędzie. Hruzdowie byli gospodarze majętni, zasobni, i liczono ich do najrządniejszych we wsi, tylko się im nieszczęściło w tem, że dzieci nie mieli, a już byli nie młodzi oboje i gospodyni lamentowała wielce nad tem niebłogosławieństwem Bożem. Kobieta była i rozumna i serca poczciwego, obejściem przechodząc męża, który gburowaty, nieco gwałtowny, kwaśny często, jej wpływem dopiero nieco się był ułagodził i po rawił. Wpływ ten jednak znośniejszym go tylko uczyniwszy, w istocie nie wiele odmienił. Szanował żonę obawiał się jej trochę, słuchał, też ale miewał wybryki, i życie z nim słodkiem nie było... Z inną żoną, kto wie do czego by doszło; z Hruzdziną, na statecznego gospodarza wyszedł, i wszyscy to jej przyznawali. Lecz żeby go prowadzić, nie mało też zręczności było potrzeba. Tym razem Hruzda wiedział dobrze, iż żona mu za przytulenie człowieka w biedzie słowa nie powie, choć do chaty trochę z sobą kłopotu przyniesie. Weszli więc na próg niosąc kilimki, zawiniątka i dobyte z wózka przybory, a znaleźli już i światło, i Hruzdzinę pośród izby w pogotowiu na przyjęcie gościa, jakiego Pan Bóg dał... Dopiero, gdy blask padł na twarz nieznajomego, postrzegł Hruzda, że to był mężczyzna już podżyły, szpakowaciejący, twarzy ponurej, ogorzałej, oczów czarnych, najeżonego włosa i pokulewający na nogę. Silny, zdrów, barczysty zresztą, znać w jakimś przypadku szwankował, ale zawsze jako — kuternoga nie miłe czynił wrażenie. Łysinę i zezowate oczy, mimo przysłowia rychlej człowiekowi przebaczono, kuternogów obawiano się przez pamięć na djabła, który uchodził za kalekę i nogi miał nieszczególne. Mimo że im się nie najlepiej wydał ów nieznajomy, przyjęto go gościnnie, Hruzdzina usmażyła jajecznicy, on też z podróżnych węzełków dobył flaszki z wódką zasłodzoną i gospodarzy częstował; a Hruzda nie był od tego. Rozgadali się wesoło, posiadawszy na ławach. To tylko było szczególnego, iż ów szlachcic, bo mu szlachectwo z oczów i sukni patrzało, — wygadał się jakoś zkąd był. Powiadał, że jest z niedalekiej okolicy, ale nazwiska wsi nie mówił. Nalegać też nie wypadało. O sobie rzekł, że u możnego pana majątkiem rządzi, iż go wysłano do Krakowa dla pokupek, i że dla tej fatalnej osi na czas do domu nie ściągnie. Gdzie zaś ten dom był, jak daleko i jak się ów pan zwał, jakoś nie wypadało mu objaśnić. Wygadawszy się dosyć, poszli spać, a nie bez tego, żeby Hruzdowie mu o sobie nie wyspowiadali wszystkiego, czego tylko chciał słuchać. — Do-

wiedział się, że dzieci nie mieli, że Hruzdzinie tęskno bez nich było, że im gospodarstwo nie źle się zresztą wiodło i t. p. Nazajutrz rano Hruzda do dnia wstawszy sam zajął się wózkiem i osią, tak że gdy się rozwidniło, wszystko było gotowe, i szlachcic upakowawszy się mógł ruszyć. — Chciał za nocleg zapłacić i gościnę, ale gospodarze nic nie wzięli, nawet za ćwiartkę owsa, którą dali koniom. Przyrzekł więc podróżny, że ich w przyszłym tygodniu z gościńcem nawiedzi. Ledwie był za wrotami, zapomniano o nim i o całej przygodzie. W dni jakoś dziesięć nad wieczór stanął wózek przed chatą, i konie uwiązawszy do płotu, kuternoga wszedł pozdrowić Hruzdów. Samego naówczas nie zastał, tylko babę. Położył na stole kilka kołaczów i butelkę miodu, a sam trochę na ławie spoczął. Hruzdzina chętną była do gawędy; ni z tego ni z owego szlachcic powiada: — A to wam za dzieckiem tęskno, hm! prawda! że kobieta do tego stworzona, aby pielęgnowała je, i smutno bez nich... a ja, wdowiec i sam jeden mam z chłopakiem kłopot; nie mój ci to on jest, ze wsi sierota, alem go w pieluchach wziął i za swego niemal z litości i miłosierdzia chował. Tym czasem gdy mi żona zmarła, teraz dojrzeć nie ma komu, i dziecko bez dozoru przepada.

Hruzdzina słuchała, serce jej uderzyło, nie odpowiedziała nic, westchnęła tylko.

— Wyście to dobre ludziska — rzekł obcy — jabym wam oddał moją sierotkę i za utrzymanie zapłacił, bo to się u mnie zmarnuje... Syn wieśniaka, toby się tu i gospodarstwa przyuczył...

— A dużo ma lat? — zapytała Hruzdzina....

— Cztery dopiero...

Jakkolwiek na dziecko to wielką miała pożądliwosć kobieta, nie śmiała na siebie wziąść, żeby bez męża przyrzekać, iż się je wychować podejmie.

— Mój jegomość — rzekła — jak mój powróci, trzeba żebyście z nim o tem pomówili; jam nie od tego: ale bez męża nie śmiem nic.

Tymczasem szlachcic się spieszył, a Hruzdy nie było, odjechał więc poleciwszy gospodyni, aby się z mężem rozmówiła, obiecując, iż drugim razem po odpowiedź zajedzie. Gdy Hruzda nadszedł, miodowi i kołaczom był rad, lecz na opowiadanie żony głową strasznie trząść zaczął.

— A daj ty mi święty pokój! a na co mi ten kłopot! dziecko cudze! kto wie, jakiej natury, chorowite może, zdziczałe, krzyku będzie chata pełna...

Hruzdzina zamilkła, umiała jednak tak prowadzić sprawę, iż po maleńku męża skłoniła i przekonała, że chłopiec by się im przydał, a dalej, dalej i pomoc z niego będą mieli. — Miała czasu dosyć na powolne nawracanie męża, na namowę i prośby, aby dziecko choć na próbę wziąść dozwolił; a że kobiety umieją, gdy pragną czego, użyć wszelkich środków, jakiemi działać można, skłoniła w końcu Hruzdzina starego, iż się zgodzi chłopca wziąść na próbę. — Wszakże go zawsze, gdyby im z nim ciężko było, oddać mogli. Żadne z nich nie zastanawiało się nad tem jakoś, że szlachcic kuternoga, choć dwa razy już u nich był, dotąd jakoś zapomniał im nawet powiedzieć, gdzie mieszkał i zkąd przyjeżdżał. Miarkowano tylko z zaprzęgu i częstych wycieczek do Krakowa, że z niedaleka gdzieś musiał przybywać.

Hruzdzina już była męża wedle swej myśli do tyla przerobiła, że choć burczał, nie sprzeciwiał się; ale szlachcica przez kilka tygodni widać nie było. Jednego dnia zrana, gdy Hruzda właśnie w pole się z pługiem wybierał, stanął wózek naprzeciwko wrót i wysiadł z niego nieznajomy kuternoga. Tym razem przywiózł z sobą znać z domu tłustą gęś świeżo zabitą i flaszkę dobrej wódki żołądkowej na tatarskie ziele nalewanej. Hruzdę wyściskał jak przyjaciela, i zabrali się do chaty, choć chłopiec z pługiem czekał u wrót. Znalazła się u Hruzdzinej kiełbasa, i zaczęto śniadanie, ale o chłopcu z razu nie było mowy. Rozmowa była tak zręcznie prowadzoną, iż sam gospodarz coś o chłopcu zagadał. Szlachcic jął go chwalić a stękać, że mu się ta sierota, którą on chciałby na ludzi wyprowadzić, marnuje. — A czemużbyście wy chłopca wziąść nie mieli? — rzekł. — Dzieci własnych nie macie, kobiecie nie będzie tak tęskno, jabym też z chęcią choć i zapłacił za utrzymanie. U nas nikogo nie ma, komuby zwierzyć dziecię.

Hruzda się w głowę poskrobał, ale nie było powodu odmówienia. Stanęło na tem, iż miał dać sześć talarów rocznie na odzież i bieliznę, a w dodatku obiecywał półkorca pszenicy.

Zgodzono się z wielką radością samej Hruzdzinej. Kuternoga zapowiedział, iż w przyszłym tygodniu dziecko przywiezie. Rzecz była postanowiona. Hruzda rękę dał; ale po odjeździe szlachcica, którego znowu zapomniał spytać, zkąd był — chodził bardzo markotny. Za to Hruzdzina dni i godziny niemal liczyła. Minął wszakże tydzień, a szlachcica nie było, i dopiero w dni dziesięć, spiesząc okrutnie, jakby go kto gonił, nadbiegł kuternoga na wózku z sobą mając dziecko, wprowadził je do chaty, położył talarów sześć na stole, i obiecując jutro dla dłuższej pogadanki nadjechać, do Krakowa popędził. Czegoś mu dla sprawy jakiejś było strasznie pilno.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KAZIMIERZ I MAGDOSIA.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH SIEDMNASTEGO STULECIA

— PRZEZ —

MIECZYSŁAWA Z POZNANIA.

(Ciąg dalszy.)

Obszernie też opowiadał Lubomirski o całej wyprawie, a mianowicie o bitwie Chocimskiej, a wszyscy uważnie słuchali ciekawego opowiadania. Mniej więcej temi słowy zakończył swoje opowiadanie:

— Po uporczywej walce nasi husarzy złamali wreszcie szyk wojsk nieprzyjacielskich. Widząc to ich dowódzca zwątpił o wygranej i w nogi, wojsko jego pozbawione naczelnika, złamane w swym szyku poszło w rozsypkę, a my w pogoń za nimi. Część naszych wpadła do ich obozu, a druga goniła Turków do ciemnej nocy. Dużo bogactwa zostawili nam Turcy, lecz najdroższym, najkosztowniejszym skarbem jaki tam zabraliśmy, jest kilkudziesięciu naszych braci, którzy od kilku lat jęczeli u nich w niewoli. Między oswobodzonymi był i ten wyrostek — (mówił ks. Lubomirski wskazując ręką na Kazimierza) — przez długie lata oddalony od rodziny, od ojczyzny znosił ciężkie jarzmo niewoli. Opowiedz co przecierpiałeś od czasu, jak Tatarzy zamordowali ci ojca a matkę pognali w jassyr.

Na żądanie księcia zaczął Kazimierz opowiadać, a wszyscy ciekawie słuchali. Siostra pani Kralskiej pobladła wśród tego opowiadania, chciała coś mówić, lecz z piersi nie mogła wydobyć ani jednego słowa. Aż wreszcie gdy

Kazimierz w ciągu opowiadania począł ze łzami w oczach opisywać, jak na pograniczu ziemi ruskiej matka jego nie mogąc zdążyć za bystrym rumakiem, padła na ziemię a Tatarzyn widząc, że biedna już nie żyje, przeciął postronek... wtedy siostra pani Kralskiej nagle powstała, rzuciła mu się na szyję wołając:

— Ona żyje, ona przy tobie mój Kaziu!...

Wszystkich oczy zwróciły się na Kazimierza i jego matkę, siostrę pani Kralskiej. Radość ztąd była niezmierną, wszyscy podziwiali niedościgłe wyroki Pańskie, uznali w tem cudowną rękę Opatrzności, bo tylko w skutek burzy pozostał książę w tej wsi i Kazimierz matkę odzyskał.

Nie będę powtarzał opowiadania Kazimierza, bo wiecie jakie przeszedł koleje, natomiast opiszę pokrótce, jakim sposobem jego matka pani Trentul, przybyła do domu swej siostry. Niejeden z was sądził już może, że ona żyć przestała, Bogu się podobało zachować ją jeszcze na tym świecie.

Otóż gdy padła na ziemię, a Tatarzyn sądząc, że ona nie żyje, odciął postronek i tak ją zostawił na pustym stepie, długo leżała bez przytomności, dopiero po zachodzie słońca zimna rosa ją orzeźwiła. Lecz dokąd miała się udać biedna kobieta, osłabiona ranami i głodem, nie znająca drogi do najbliższego mieszkania. Bóg tylko jej pozostał, do Boga udała się z prośbą o pomoc, a wzmocniona gorącą modlitwą zawlokła się kilka tysięcy kroków, aż powtórnie upadła z osłabienia. Dopiero nazajutrz znaleźli ją ludzie powracający z leśnych kryjówek, do których się przed Tatarami schronili. Ulitowali się nad nieszczęśliwą, zanieśli do swych zniszczonych mieszkań, ostatkiem strawy podzielili się z nią, a rany obwiązali gojącemi ziołami. W kilka tygodni przyszła pani Trentul do siebie, lecz dopiero po dwóch latach opuściła gościnnych wieśniaków. Długie lata po jej odjeździe wspominali ludzie tego sioła panią Trentul, gdyż nie tylko pobożnością im się podobała, nie tylko litowali się nad jej nieszczęściem, ale żałowali, że skoro odjechała, utracili najlepszą pocieszycielkę w nieszczęściu, nauczycielkę ich dzieci. Matka Kazimierza nie chcąc darmo jeść chleba, uczyła dzieci całej wsi czytać i pisać; kobietom dopomagała w gospodarstwie, dziewczęta zapoznała ze szyciem, a nie jednego kmiotka wyleczyła z choroby. Pani Trentul bowiem znała się na lekach jak i dzisiaj jeszcze znają nasze matki lekarstwa na najgłówniejsze choroby, a najbliższym lekarzem na wsi jest zwykle sama pani.

Opuściwszy wioskę tę pojechała pani Trentul do swej ciotecznej siostry pani Kralskiej. I tutaj nietylko dopomagała swej siostrze w gospodarstwie, ale uczyła również dzieci wiejskie. Tak minęło jej znowu lat kilka; do wioski swej własnej od spustoszenia jej przez Tatarów nie zaglądała, nikt nie wiedział, że żyje. Łudzili się wtedy krewniacy i sąsiedzi, którzy majątek zagarnęli, tak, że gdy Kazimierz wrócił do ojczyzny, a pani Trentul dla syna chciała majątek odebrać, nie chcieli go ze swych rąk puścić i musiała się z nimi procesować.

V. Oswobodzenie Wiednia r. 1683.

Nowy opiekun Kazimierza, książę Lubomirski, opuścił nazajutrz wioskę państwa Kralskich, spiesząc do swego domu. Kazimierza zostawił na kilka tygodni przy matce, by się po tylu latach niewoli raz nacieszył. W dwa miesiące dopiero odwiózł Kazimierza p. Kralski, który wtedy jak wszystka szlachta, jechał do Warszawy na sejm zwołany przez księcia Prymasa arcybiskupa gnieźnieńskiego, do obioru nowego króla.

Na tymto sejmie obiorowym, czyli jak mówią z łacińskiego języka elekcyjnym, obrano dnia 20 kwietnia r. 1674 królem polskim Jana Sobieskiego, zwycięzcę z pod Chocima, oswobodziciela naszego Kazimierza.

Dzielny Sobieski odłożył uroczystość koronacyi a czemprędzej wyruszył przeciw Turkom, aby uwolnić cierpiącą ojczyznę od najezdników. Z królem pojechało wielu panów na tę wojnę, bo bronić ojczyzny jest obowiązkiem każdego; między innymi jechał i książę Lubomirski opiekun Kazimierza. Chciał razem z księciem nasz Kazimierz iść na wojnę, lecz Lubomirski bacząc

na młody wiek i słabe siły Kazimierza, na to nie pozwolił. Owszem oddał go do szkół, by Kazimierz nauczywszy się czegoś pożytecznego, mógł później tem lepiej przysłużyć się ojczyznie. Jako sumienny opiekun, Lubomirski przedłożył królowi niesłuszne postąpienie krewniaków pani Trentul, którzy jej cały majątek zabrali. Król lubo mocno zajęty wojną, wejrzał w tę sprawę i wedle sprawiedliwości osądził — i tak matce Kazimierza wrócono wieś dziedziczną.

Szybko zebrał Jan Sobieski wojsko, a zanim się Turcy obejrzeli, zdobył miasto Bar, Bracław, Niemirów, zwyciężył niewiernych Kozaków, co znowu nie pamiętając o ojczyznie dopomagali Turkom. Lecz prędko poznali swój błąd, a przynosząc chleb i sól jako znak zjednoczenia, zbiegali się do Sobieskiego, porzucając wrogów. Wśród wojny minęła przykra zima, lecz na wiosnę Turcy nagromadzili świeże wojska i zmusili Sobieskiego do odwrotu aż pod Lwów. W okolicy Lwowa dopiero przyszło do walnej bitwy, w której 10,000 Polaków zwyciężyło 150,000 Turków. Bóg widocznie dopomógł Polakom, bo zważcie że 15 Turków walczyło na jednego Polaka, a pomimo to nasi zwyciężyli. — Prawie równocześnie pobił też hetman Stanisław Jabłonowski Tatarów pod Złoczowem.

Wkrótce jednakże basza turecki Ibrahim zgromadził znowu rozproszone swe hufce, zdobył kilka obronnych zamków polskich i obległ już warownię Trembowlę. Oj! było tam z naszymi krucho, gdyż oblegani od niezmiernych wojsk tureckich Polacy wytrzymywali i głód i pragnienie w nadziei rychłej pomocy; a tu zamiast odsieczy codziennie większe tylko wojska tureckie się zgromadzały. Już wszyscy stracili odwagę, ulękli się przemocy i zamyślali się poddać. Szczęściem dowiedziała się o tem żona komendanta wojska, pani Chrzanowska. Mężna ta Polka chwyta za dwa noże, wchodzi do sali, w której się panowie naradzają, jak Trembowlę poddać wrogom; stawa przed mężem i grozi mu, że i jego i siebie temi nożami zamorduje, skoro ujrzy Turków w Trembowli. Zawstydzeni odwagą słabej kobiety mężczyzni spieszą do boju, i szczęśliwie odpierają napady wrogów.

Tymczasem nadchodzi długo oczekiwana pomoc, sam król przybywa na odsiecz, a przestraszeni Turcy opuszczają co rychlej Trembowlę. Nie zdołał już wstrzymać dumny basza Ibrahim swoich hufców — wszędzie na widok polskiego żołnierza pierzchają.

Odetchnęła na chwilę Polska, lecz król nie zasypiał, bo wiedział, że skoro pierwszy strach minie, Turcy wrócą. Korzystając też z wolnej chwili, zjeżdża Sobieski do Krakowa, i tam w dzień Matki Bozkiej Gromnicznej dnia 2 lutego 1676 wraz z żoną swoją od prymasa Jędrzeja Olszowskiego ukoronowanym został. Potem natychmiast zaczął się krzątać, by zebrać wojsko; lecz jakoś nie szło mu sporo i zaledwie 15,000 zebrał, i z tymi wyruszył nad Dniestr. Turcy także nie zalegali pola, i nim przybył Jan Sobieski przeprawili się z ogromnemi wojskami przez rzekę. Tak znowu się rozpoczęła wojna; nasi ojcowie bili się wedle zwyczaju doskonale, a na ich czele zawsze szedł Sobieski. Turcy na same imię Sobieskiego drżeli ze strachu, lecz w końcu zaufani w swą liczbę, widząc przy królu tylko szczupłą garstkę, otoczyli Sobieskiego pod Żurawnem. Przez trzy tygodnie bronił się Sobieski na czele szczupłej garstki wojowników, lecz w końcu zabrakło mu i prochu i żywności; szczęściem że książe Radziwiłł zbliżał się na pomoc oblężonemu królowi, choć Jan Sobieski o tem nie wiedział dokładnie, bo był przez Turków w koło zamkniętym. Turcy tylko o tem wiedzieli i czemprędzej wysłali do Sobieskiego posłów, zawarli pokój, na mocy którego dwie części Ukrainy zostały przy Polsce a jedna przy Turkach. Również mieli Turcy zatrzymać Podole z miastem Kamieniec, a wypuścić na wolność 15,000 jeńców zabranych w Polsce. Na tem skończyła się ta wojna, lecz nie na długo, jak to zaraz zobaczymy. Teraz jednak wracam do opowiadania mego o Kazimierzu.

Jak to już wiecie, książe Lubomirski oddał Kazimierza do szkół, a po czterech latach gdy ukończył akademią we Wilnie, zabrał go książe Lubomirski do siebie, aby tam wśród ludzi, na dworze pańskim poznał, jak się to żyje w świecie. Matka Kazimierza zaś dziękując Bogu za ocalenie jedynaka, wstąpiła do zakonu, by w postach i modlitwie przepędzić koniec życia.

Kazimierz tymczasem jako dworzanin i wychowaniec księcia Lubomirskiego, pokrewnego królowi Sobieskiemu, nieraz znajdował się na pokojach zamku królewskiego. Kilka razy rozmawiał Kazimierz z łaskawym królem Janem III. i z ciekawą królową. Obojgu królestwu

podobała się skromna grzeczność i ujmująca prostota Kazimierza, a chcąc swemu synowi królewiczowi Jakóbowi dać przyzwoitego młodzieńca do boku, prosił król księcia Lubomirskiego, aby pozwolił Kazimierzowi przenieść się na dwór królewski.

Z żalem opuszczał Kazimierz dwór swego dobroczyńcy i opiekuna księcia Lubomirskiego, lecz wezwaniu dobrego króla trudno było odmówić. Sam Lubomirski lubo mocno kochał Kazimierza, radził mu aby nie opuszczał sposobności dostania się na dwór królewski. Pożegnał się Kazimierz z dworzanami Lubomirskiego, i poszedł ucałować rękę swego opiekuna. Przy pożegnaniu udzielił mu książe swoje bło-



Husarz Polski.

gosławieństwo, dał mu stósowną naukę, którą temi zakończył słowy: „Miej Boga i ojczyznę zawsze w pamięci, a niechaj cię Matka Boża i święci Anieli strzegą na każdym kroku, byś się nie dopuścił żadnej zdrady, żadnego brudnego czynu, byś zawsze twych braci, czy to pan, czy mieszczanin, czy wieśniak, szczerze miłował. Na pamiątkę zaś twej młodości i winnego starszym posłuszeństwa, stósownie do przyjętego w Polsce zwyczaju, odbierzesz odemnie batogi, które aby były ostatniemi w tem życiu."

Poczem rozłożyli pokojowce kobierce, a Kazimierz musiał się położyć, a książe własną ręką odliczył mu dwadzieścia plag, następnie uściskał go serdecznie i na pamiątkę podarował mu ślicznego konia z całem ubraniem i zbroją z angielskiej stali, grubo wyzłacaną, lubo wtedy Polacy bardzo rzadko już używali żelaznych zbroi, w których wojsko wyglądało jak okute w żelazo. Przedtem to wszyscy na wojnę przyodziewali takie zbroje, a polscy husarze przypinali sobie jeszcze orle skrzydła lub skóry lamparcie. W czasie bitwy poruszali temi skrzydłami lub skórami, czem niezmierny szum sprawiali, tak że nie przyzwyczajone do podobnego łoskotu konie nieprzyjaciół ze strachu pierzchały. Dzielne też było to wojsko polskie; nie znano wtedy co to znaczy poddać się wrogom, a przysłowiem naszych przodków było: „zginę lub zwyciężę." To też dopókąd wszyscy Polacy tak myśleli, obawiali się ich mocy i Turcy i Moskale i Niemcy i Szwedzi; a jeżeli który z tych sąsiadów rozpoczął wojnę, wnet poznał, co to znaczy rozpoczynać z Polską, za którą każdy jej syn gotów był wszystko: życie, żonę, dzieci i majątek poświęcić. I za dzisiejszych czasów widział świat: co to jest Polak; bez broni, z gołemi prawie rękoma rzucili się bracia nasi na bagnety moskiewskie; lecz snać nie minął jeszcze czas pokuty!!

Kazimierz ucieszył się mocno z podarowanego sobie konia i zbroi, spodziewał się że nie zadługo ich użyje. Zanosiło się bowiem w Polsce znowu na wojnę. Wszyscy dobrzy Polacy oczekiwali, rychłoli Jan III. odbierze wrogom, co Polsce zabrali, a mianowicie skoro Turkom wyrwie Kamieniec Podolski. Przezorny Sobieski chcąc się zabezpieczyć od chciwych sąsiadów, zawarł z cesarzem niemieckim pokój. A właśnie w tym czasie wojował cesarz z Turkami, którzy wielką część Węgier byli zajęli. Sami Węgrzy sprzymierzali się z Turkami, chcąc się za ich pomocą wybić z pod panowania niemieckiego. Szczęśliwie więc powodziło się Turkom, bo po kilka razy zwyciężyli wojska niemieckie. Przestraszeni Niemcy nuż prosić Polaków o pomoc; lecz Sobieski na te prośby nie odpowiadał, gdyż nie chciał Węgrom przeszkadzać; pisał nawet Jan III. do Węgrów,

aby się wyrzekli pomocy tureckiej, to on sam im przyjdzie na pomoc. Węgrzy jednak nie usłuchali tej rady a zaufani w silną pomoc Turków nie dbali o Polaków. Turcy tymczasem nagromadzili niezmierne wojska aż z Azyi i Afryki pod dowództwem wielkiego wezyra Kara-Mustafy. Z tem to niezmiernem wojskiem stanęli pod Wiedniem. Oj! strach był wtedy w stolicy cesarskiej; sam cesarz z żoną i dziećmi chroniąc się opuścił Wiedeń, podczas gdy 300,000 Turków rozkładało na kilka mil swój obóz, co z daleka wyglądał jak miasto jakie. Wszystkiego też w tym obozie był dostatek, nawet kobiet. Sam wielki wezyr wiózł z sobą swoje dwieście żon, mnóstwo rzemieślników, a jego namioty błyszczały od złota i srebra.

Czemprędzej więc wysłał cesarz niemiecki posłów do Sobieskiego, prosząc o ratunek. Turcy zaś w swej zuchwałości odgrażali się, że wszystkie chrześciańskie kościoły w Wiedniu i w całych Niemczech zamienią na tureckie meczety. Razem z posłem cesarskim przybył i poseł od papieża. Obydwaj ci posłowie zaszli królowi drogę, gdy szedł do kościoła, a padłszy na kolana zawołał poseł cesarza: „Królu Polski ratuj Wiedeń!" a poseł papiezki dodał: „i chrześciaństwo!"

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

TATARZY.

— Narzekacie moi ludzie na złe czasy — mówił stary pleban do otaczającej go gromady wieśniaków, siedząc na darniowej ławeczce pod rozłożystą lipą a to dla tego tylko że nie znacie przeszłości, o której gadacie, ale to już jest w naturze ludzkiej, upatrywać wszystko dobre w przeszłości i wzdychać do niej, a tego co około siebie jest, nie czynić.

Opowiem wam jedno zdarzenie z życia waszych Ojców, a dopiero poznacie, czy godzi wam się robić jakieś wyrzuty Bogu za czasy, w których żyjecie; czy raczej najpokorniej mu dziękować:

— Przeszło już 200 lat temu, kiedy na tronie Polskim siedział Zygmunt III, a był to król możny i bardzo szanowany od innych królów, tem zaś więcej, że Polska była jakby murem innych krajów chrześciańskich, przeciw srogim napadom Turków i Tatarów, którzy prawie bezustannie niszczyli jej wsie i miasta mnogi lud uprowadzając w pogańską niewolę, a okropna to była niewola u tych bisurmanów, nie szanowali oni ani starca, ani kapłana, ani kobiety. Biada wsi na którą palec gniewu Bożego zesłał tę szarańczę, drogi jej zalały się krwią chrześciańską, oszpecone trupy starców i niemowlątek, walały się po niedopalonych zrębach domów, których dymy wiatr jesienny roznosił na wszystkie strony; gdzie niegdzie pies tylko zawył smutnie, szukając swojego pana; gdzie niegdzie biedny, wynędzniały wieśniak, który cudem jakim zbiegłszy do lasu uniósł życie przed tą srogą pożogą, z boleścią załamywał ręce za swoją chudobą i czeladką,

a błogosławił Boga, jeżeli w trupach leżących na ziemi rozpoznał ukochaną żonę, albo swojego jedynaka; bo śmierć ich skończyła wszystkie męczarnie, kościom ich nie odmówiono chrześciańskiego pogrzebu, garść ziemi rodzinnej okryje ich pozostałe szczątki, a łza współczucia zrosi mogiłę. Ale stokroć biedniejsi, stokroć nieszczęśliwsi ci, którzy uszedłszy śmierci, dostali się w srogą niewolę Tatarom. Najczęściej ochraniano i brano w jasyr płci obojej młodzieży, którąby kiedyś mogła im służyć w domowych zajęciach, kiedy oni chciwi łupów i krwi, wyroją się nieprzeliczonem mrowiskiem na kraje chrześciańskie; wszystkich nieszczęśliwych obdzierano prawie zupełnie z odzieży i jak sfory hartów wiązano na postronkach do koni, powrozy obcierały mięso do kości, znacząc krwią ślad przejścia niewolników, srogi Tatar nahajką popędzał upadających, tyrańsko pastwił się nad nieszczęśliwymi umęczonymi głodem, zimnem i niewczasem, ślad ich przejścia szeroko zasłany kośćmi białemi, nad któremi unosiły się czarne stada kruków, opasałe ścierwem i krwią chrześciańską. A kiedy hordy stanęły na granicy swojego kraju, dzielono się niewolnikami, rozdzielano matki od dzieci, męża od żony, kochankę od jej narzeczonego i pędzono tych na wschód, tych na południe, na zachód albo północ, gdzie nigdy się już zobaczyć nie mieli; dziecię wychowane w wierze muzułmańskej, dorosłszy, zapomniało swojego pochodzenia, i często niosło śmierć i zniszczenie tej ziemi, na której się urodziło, które z prawa natury bronić i kochać było obowiązane. Młodzieniec kończył gdzie życie przy ciężkiej pracy wśród głodu i plag, w tęschności nieustannej do swoich, a kobiety, tych los był stokroć okropniejszy jeszcze, frymarczono niemi jak gdyby bydlęciem, zdzierano z nich szaty i tak wystawiano na rynkach miasta na sprzedaż, a kupione pędzono jeszcze dalej na kraj świata.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OJCIEC KAPUCYN

— CZYLI —

ZWYCIĘZTWO WIARY I MIŁOŚCI.

(Ciąg dalszy.)

— Tu umilkł czcigodny starzec i słowa już nie mówił o wierze. Nazajutrz złożyłem w przytomności swych przyjaciół wyznanie wiary katolickiej i stałem się, już jako katolik, po raz pierwszy uczestnikiem św. Sakramentów pokuty, oraz ciała i krwi Pańskiej według obrządku Kościoła. O jakiemże to niewymownem szczęściem było dla mnie, skosztować zbawienie świata, przyjąć Pana nad Pany, przyjąć Boga do przybytku serca mego! Dusza moja rado-

wała się wysoko, iż Ten się z nią złączył, który krew przenajświętszą dla jej był wylał zbawienia. Pełen niepojętej rozkoszy, dziękowałem Najwyższemu w wyrazach najwymowniejszych za uczczenie mnie mizernego stworzenia łaską tak szczególną. Bóg, Zbawiciel świata, zaczął przemieszkiwać w sercu mojem! Uniesiony więc w duchu pod obłoki, zapomniałem o wszelkiej ziemskości. Ani dźwięczne akordy poważnych organów, ani uroczyste głosy świętych śpiewów nie zdołały przerwać mego zachwycenia. Cały zdawałem się być obrazem najgłębszego nabożeństwa, wizerunkiem nadziemskiej szczęśliwości. O jakże chętnie byłbym dał Jezusowi największy dowód wdzięcznej swojej miłości! On się zniżył z Nieba aż do głębokości duszy ułomnego człowieka. Byłbym więc, gdyby do tego przyszło, dla Jezusa Pana i najokrutniejsze męczarnie ponosił, a ponosił je z radością! A że tego okoliczności nie wymagały, postanowiłem z całą siłą niezłomnej swej woli Jemu tylko żyć i umierać. — —

Tak się zwierzał młody zakonnik przed podróżującym Panem ze Szkocyi, a kończąc ostatnie słowa swoje, zajaśniał na twarzy blaskiem zachwyconej żarliwości. To przekonywało dostatecznie o prawdzie jego zapału i że był tem zgoła przyjęty, co mówił. I Edward uczuł w sobie wielkie wzruszenie. Głębokie westchnienie wyciskały się z łona jego a z żałosnem spojrzeniem spoczywało oko na zakonniku. Po krótkiem obydwóch milczeniu zaczął kapucyn na nowo w ten sposób:

— Powodowany przezornością i radą swych przyjaciół, ukrywałem moje nawrócenie przed mym wychowawcą jak najusilniej. Jednakowoż musiał to odgadnąć z nadzwyczajnej mojej wesołości, która jako odblask wewnętrznego uszczęśliwienia w rysach mej twarzy jaśniała. Dawniej bowiem byłem tak cichy, tak małomówiący, tak ponury, że nagła ta zmiana w mojej powierzchowności koniecznie na mnie jego zwrócić musiała uwagę. Aby się więc przekonać o słuszności swego podejrzenia, postanowil mię doświadczać.

— Właśnie zbierali się kalwini w Szarantonie, w blizkości Paryża. Mój wychowawca, z którym dawniej kilka razy na ich nabożeństwie byłem, przedłożył mi potrzebę częstszego na niem, szczególnie na kazaniu, bywania. Ja tymczasem wymawiałem się pod różnemi pozorami, lecz on, korzystając z władzy swego zwierzchnictwa, dopóty mie przynaglał, aż mu się oparłem. Powiedziałem mu bowiem wręcz, że już więcej na kalwińskiem nabożeństwie w Szarantonie nie będę. Na te słowa tak niespodziewane spojrzał na mnie badawczem okiem i zapytał o przyczyne wzbraniania się woli jego.

— Ja mu zaś na to odpowiedziałem:

— Jeżeli się nie mylę, toś Pan sam odgadnął, co Panu teraz otwarcie i jasno chcę oświadczyć. Jestem ja już katolikiem, a Szaranton nigdy mię więcej w sobie nie ujrzy.

— Nie jestem w stanie opisać Wam zadziwienia i trwogi mego wychowawcy. Jednakowoż, ochłonąwszy nieco z przelęknienia, użył wszystkich sposobów, aby mię odwieść od tak niecnych w jego oczach zamiarów. Przekładał mi zniewagę, jaką przez mój opór cały swój ród obrażę; chciał mię ustraszyć rozpaczą mej matki; powtarzał mi, iż się na wieki zrzec muszę powrotu do Ojczyzny, że matka mię opuści, że się mnie zaprze, że się cała Szkocya słusznie na mnie oburzy.

Ja zaś na to odrzekłem spokojnie:

— Nie przestaję kochać mej matki i kraju, lecz taka miłość musi ustąpić wezwaniu Bozkiemu. Oczy moje roztworzyły się i ujrzałem prawdziwe światło najlepszej na świecie religii.

— Wstyd i hańba na Ciebie! zawołał wychowawca i wybiegł z pokoju.

— Wskutek tego zdarzenia doniosłem czemprędzej matce o mojem przyjęciu religii katolickiej. Wkrótce odebrałem odpowiedź pełną najdotkliwszych wyrzutów i pogróżek, oraz surowy rozkaz, abym natychmiast do porzuconej wiary powrócił. Inaczej miałem doznać upokorzenia, jakie podobna lekkomyślność za sobą pociąga.

— Przecię odpisałem na to matce czule i i z wielkiem uszanowaniem, dając jej do zrozumienia, że nic w świecie nie zdoła mnie przymusić do stargania miłych dla mnie więzów tak świętego przymierza z prawdziwym kościołem. Po niejakim czasie odebrałem znowu list od matki, w którym chcąc mnie koniecznie do swych zasad nakłonić, łagodniej się wyrażała. Przypomniawszy mi cierpienia swoje i troski, około mego zdrowia w dzieciństwie i około wychowania doznane, zwróciwszy szczególną moję uwagę na głośne czyny i zasługi praojców, na ostatnią wolę umierającego rodzica, abym wier-

ny w jego wierze w ślady przodków wstępował, wytknąwszy wreszcie wszystkie skutki mego obłąkania w religii, skończyła list swój z zagrożeniem, iż upor mój w grób ją wtrąci.

— Ubolewałem nad tem wszystkiem, lecz mi ani na myśl nie przyszło, zmienić swe postanowienie. Światło łaski Bozkiej przyświecało mi tak jasno, że oddać się znowu ciemności, niepodobną dla mnie było rzeczą. Wiedziałem dobrze, iż życie i śmierć osób nam ulubionych w mocy Boga zostają. Wiedziałem, że nie uproszę dla niej Bozkiego błogosławieństwa przez odstąpienie od wiary jedynie prawdziwej. Byłem owszem przekonany, że przeniewierstwo to Boga tylko obrazić może.

— W trzecim liście doniosła mi Matka, iż mi się już nie wolno synem jej nazywać, żę mię wyłącza od dziedzictwa po ojcu i że na żadne z jej strony wsparcie liczyć nie mogę. Oprócz tego obsypała mię złorzeczeniem i przeklęstwy. Mój zaś wychowawca miał niezwłocznie do Szkocyi powrócić. Padłszy na kolana, błagałem gorąco Boga o zlanie swej świętej łaski i na matkę moję, aby jak najprędzej zbawienie swej duszy poznać mogła.

— Mój wychowawca odjechał rzeczywiście do Aberdeen. Zostałem więc sam w obcym kraju. Byłem opuszczony. Nikt się mną nie opiekował a znikąd się pomocy nie spodziewałem. Lecz Bóg, który pamięta o ptaku na dachu, nie opuści i tego, kto mu zaufa z pokorą.

— Dowiedziawszy się ów sędziwy szlachcic od swych synów, że się mnie własna moja matka wyparła, kazał mię do siebie poprosić. Ujrzawszy mnie w swych progach, pospieszył mi na przeciwko, a uścisnąwszy mię serdecznie, rzekł:

— Młody przyjacielu! Nie troszcz się tak wielce! Ja Ci chcę być ojcem. Ja odtąd wszystkie Twe potrzeby zaspakajać będę. Jakże dziękuję Bogu za udzielenie Ci tyle siły do odparcia od siebie tak niebezpiecznych napaści! Zażądaj, co Twa wola, a zaraz to uczynię, skoro mej możności nie przechodzi. Synowie zaś moi, dotąd Ci tylko będąc przyjaciołmi, są od tej chwili braćmi Twymi!

— Ledwie co to wyrzekł ów szlachcic starzec, aż mi się tu rzucili do szyi moi dwaj rówiennicy, wołając na przemiany:

— O bracie, nasz bracie, o drogi, kochany nasz bracie!

Z płaczem przycisnąłem ich do serca i wyjąkałem w swem rozczuleniu krótkie wyrazy podzięków za tyle dobroci i wspaniałomyślności.

— Aż do ośmnatego roku życia doznawałem wszelkich wygód w domu mego dobroczyńcy, gdziem i we wierze swojej nowej co raz to dalej postępował. Po upływie zaś tego czasu postanowił ten drugi mój ojciec nas wszystkich trzech do Włoch wysłać. Mieliśmy się udać do Rzymu, aby w tej stolicy Chrześciaństwa nabyć wszystkich wiadomości, które umysł uzacniają, i aby się tam w artykułach wiary nieomylnej utwierdzić.

— Skończywszy cały szereg swych przestróg i rad ojcowskich i dawszy nam swoje na drogę błogosławieństwo, przycisnął nas do łona poczciwy starzec, i odjechaliśmy z płaczem. Przebywszy już niebotyczne góry Alpejskie, zwiedziliśmy Turyn, Medyolan i inne piękne miasta Lombardyi, następnie udaliśmy się do Bolonii, a ztąd do Loreto, gdzie Królowej aniołów, Matce Bozkiej Loretańskiej, jak sobiem był w duchu poślubił, pokorne złożyłem dziękczynienie. Na tem tak uczęszczanem, tak ulubionem ś. miejscu znalazło serce moje niewymowną pociechę. Nie raz ja doznałem opieki tej Pani Nieba i ziemi, alem Jej się też oddał i zaufał całem sercem.

— W drodze między Loreto a Rzymem rozmawiali przybrani bracia moi o czułych i rozsądnych napomnieniach najukochańszego swego ojca. To było dla mnie powodem kilkokrotnych, głębokich westchnień. Przypomniała mi się bowiem matka moja.

— W Rzymie stanąwszy, przepędzali moi przyjaciele czas swój na zwiedzaniu mnogich osobliwości, które w tem światosławnem mieście z dawnych i nowszych czasów nagromadzono. Ja zaś idąc za natchnieniem serca swojego, wybrałem sobie mieszkanie w klasztorze kapucynów. Tu bawić samotnie było dla mnie największem szczęściem. Tu poznałem Ojca Anioła, dawniej Marszałka francuzkiego, „Żoajes", który piastując przez niejaki czas urzęda najdostojniejsze, wzgardził wszelkim blaskiem światowym i przyjął z głęboką pokorą sukienkę świętego Franciszka. Żył on skromnie i w ubóstwie, jak i najniższy w klasztorze braciszek.

Tylko po nadzwyczajnej pokorze i pobożności można go było poznać. Częstom jego odwidzał i przysłuchiwałem się mowie jego jak najuważniej. Patrząc na tego męża, który zamienił złotolite szaty na habit z sukna najgrubszego, a ciasną celę przełożył nad pyszny pałac, musiałem się mimowolnie dziwować. Jednakowoż twierdził z zapałem, iż jest szczęśliwy, mogąc swe życie zupełnie Bogu poświęcić. Ile razy odchodziłem od niego, zawszem sobie życzył być równie szczęśliwym.

— Tymczasem zbliżyła się chwila odjazdu mych przyjaciół. Pomni woli ojca swego, musieli wracać do Francyi. A gdy mi o tem wspomnieli, oświadczyłem, żem postanowił w Rzymie pozostać. Moje stósunki z Ojcem Aniołem opowiedziałem im jak najszczerzej. Zasmuciłem ich tem swojem przedsięwzięciem. Aby zaś ich jakkolwiek pocieszyć, roztrząsnąłem przed nimi moje do tego powody w ten niby sposób:

— Kochani Bracia! rzekłem, wdzięczność i przyjaźń moja dla Was i dla czcigodnego rodzica Waszego wyryta tak głęboko w sercu mojem, że nigdy tego zapomnieć nie mogę. Dla czegóż więc mam wrócić do Paryża? Czyż aby ztamtąd do Szkocyi pojechać? To niepodobna! Matka moja niedozwala mi ujrzyć miejsc mojej młodości; matka moja wyłączyła mię od dziedzictwa, przypadającego na mnie po świętej pamięci ojcu moim. Wreszcie nie pragnę majątku. Przekonałem się, iż wszystko w Niebie posiadać będzie, kto się zrzekł ziemskich dostatków. Dziś mi się już oczy otworzyły i gniewam się sam na siebie, iż tak długo lepiej żyć nie umiałem. Jedno mam tylko jeszcze życzenie. Oto chciałbym dożyć nawrócenia matki mojej, aby katoliczką została. Mogę się więc modlić za nią w samotności daleko goręcej, niż w zgiełku światowym i więcej jestem w stanie osięgnąć przez modły i błagania, niż przez wszystkie i najmędrsze zabiegi światowe.

— Boleść serdeczna opanowała mych rówienników, gdy poznali, że od przedsięwzięcia swego nie odstąpię. A że równie, jak i ja sam, sądzili, iż Bóg mię na zakonnika powołał, przyjęli więc moje przyczyny za zupełnie słuszne. Krótko przed ich odjazdem uścisnęliśmy się z nieopisanem rozczuleniem. Łzy obfite skrapiały wzajemnie lica nasze. Wreszcie rozstaliśmy się z sobą. Już ich tylko w dali można było widzieć, a jeszcze mi oczy łzami zachodziły, a jeszcze głęboko wzdychałem.

— Ojciec Archanioł zaznajomił mię z pewnym prałatem wielkiej pobożności, który mię bardzo chętnie do domu przyjął. Tu żyłem zupełnie w samotności. Wychodziłem tylko, chcąc Ojców kapucynów odwidzić. Myśli moje były ciągle zajęte bogobojnem życiem tych czigodnych zakonników. Gdy się między nimi znajdowałem, zdawało mi się, że braćmi są moimi. A zawsze usiłowałem naśladować ich cnoty tak przykładne, tak wzorowe.

— Po długim namyśle i rozważeniu wszystkich powodów do rozpoczęcia życia zakonnego pobiegłem do Ojca Anioła i padłem mu do nóg, zwierzając mu się z wszystkiem, nad czem już od dawna rozmyślałem, co za uczucia sercem mojem władały i jak potężna siła duszę moją opanowała. Wszystkiem mu opisał udręczenia, jakich doznawałem, kiedy nadziemskie uczucia z myślami światowemi we mnie walczyły. A jakże się cieszył, kiedym mu oświadczył, iż za pomocą Bozką zwyciężyłem. Wreszcie powiedziałem, że jestem gotów wstąpić do zakonu Świętego Franciszka, byle mnie tylko chciał przyjąć do nowicyatu. Miłe było Ojcu Aniołowi to moje oświadczenie, jednakowoż sądził za rzecz konieczną, przedstawić mi wszystkie przykrości, ze stanem zakonnym połączone. W ostatku, jak gdyby czytał w mem sercu, zamknął mię w swoje objęcia, wziął mię, pełen braterskiej miłości, za rękę i zaprowadził do Najprzewielebniejszego Ojca Jenerała. Ten czcigodny starzec, będąc już poprzednio przez Ojca Anioła o wszystkiem uwiadomiony, co mnie się tyczyło, nie widział żadnej trudności, któraby się obleczeniu memu w sukienkę nowicyusza mogła sprzeciwiać. Przekonany o mocnem mojem przedsięwzięciu, posłał mię do klasztoru w Kameryno i kazał mię nazywać Archaniołem.

— Takim sposobem zawinąłem w końcu po mozołach młodości i po burzach świata do bezpiecznego portu Wiary świętej. Jeśli sobie, szlachetny panie baronie, życzycie posłuchać mię jutro dalej, proszę, pozwólcie mi Was odwidzić na nowo! Później możecie to wszystko matce mojej opowiedzieć. Możeć przestanie mię przeklinać, a będzie natomiast błogosławić,

Lecz niestety! Dzień ten szczęśliwy może jeszcze nie zawitał, lubo go tak niecierpliwie oczekuję. Wszak nie jest w mocy słabych śmiertelników przyspieszać wyroków Bożych! O tak, nie możemy ich ani przyspieszać ani wstrzymywać!

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Bezsenną była noc dla Edwarda. Tysiące rozmaitych myśli krzyżowało mu się w głowie. Nie mógł zaprzeczyć widocznej a szczególnej łaski Bozkiej. Musiał podziwiać zupełne zdanie się na moc najwyższą, musiał podziwiać stałość przejętego religią człowieka. Pomimo wysokiego dla matki swojej szacunku, pomimo wielkiej ku niej miłości, o mało jej o za ostre z nim sobie postąpienie nie obwiniał. Z drugiej strony rozważał hańbę, przez tak podły stan „hrabi" Grzegorza Lesley dla całej swojej familii zgotowane. Ubolewał także ciągle nad smutkiem rozpaczającej matki. Takim sposobem wahało się serce jego na tę i ową stronę. Zacięta walka uczuć wszczęła się w jego łonie. Okropny był stan, w którym zostawał.

Już po raz drugi wołał dzwonek klasztorny bogobojnych braci na modlitwę, a jeszcze szukał Edward po bezsennej, niespokojnej nocy snu w rannym spoczynku. Lecz na próżno! Wreszcie wstał i oczekiwał z niecierpliwością chwili, kiedy Ojciec Archaniół dalej swe nawrócenia opowiadać zacznie. Jednak się tego i obawiał.

Wkrótce nadbiegł zakonnik. Pozdrowiwszy go wesoło, jak się to, znając czyste sumienie, zawsze czyni, przepraszał Barona, iż prędzej do niego nie przybył. Pierw-ci musiał Archaniół złożyć Stwórcy swemu dziękczynienie za noc szczęśliwie przeżytą. A w modlitwie napoił się i słodyczą nowej pociechy, i czuł już nową w sobie siłę, którą Bóg chętnie duszom go kochającym daje.

Ucieszył się Edward, widząc go przed sobą z licem wesołem i musiał się samemu sobie dziwować, dla czego blizkość zakonnika taką mu sprawia przyjemność. Wreszcie prosił Archanioła o dalszy ciąg swego opowiadania.

— Mało tylko, — rzekł zakonnik, — zostaje mi jeszcze do powiedzenia. Wszak życie klasztorne nie może być bogate w rozmaite wypadki.

— Stanąwszy w klastorze Kameryńskim, dokąd mię Najprzewielebniejszy Ojciec Jenerał był posłał, musiałem przejść wszystkie próby nowicyatu. Najwprzód zaś wystawił mi jeden z kapucynów całą surowość swego zakonu. Radził mi, abym raczej zaniechał mojego postanowienia.

— Jest rzeczą niebezpieczną — rzekł do mnie, — poświęcić się w tak młodym wieku stanowi, wymagającemu zrzeczenia się wszystkich uciech i przyjemności świata.

— Lecz list ojca Jenerała najlepiej na to odpowiedział. Pisał bowiem Najprzewielebniejszy Jenerał zakonu przezemnie do kapucynów w Kameryno, jakom zupełnie na wszystko przygotowany, że żadnej nie ma przykrości, któraby mię od przedsięwzięcia tak zbawiennego odstraszyć mogła. Przyjęto mię więc do nowicyatu. Wkrótce potem obleczono mię w sukienkę zakonną, co z taką się działo uroczystością, iż dusza moja jeszcze większą napełniona została rozkoszą. Po odbyciu prób całego roku uradzono jednogłośnie, iż zasługuję na przyjęcie do zakonu św. Franciszka. Nie mam wyrazów do opisania szczęścia mego w owej chwili. Od onej uroczystości poczytywałem się za naczynie Boże, poczytywałem się za sługę Pana nad panami. Zdawało mi się, jakby mię od świata grube, nieprzebyte obłoki przedzielały. Odtąd zacząłem się uczyć Teologii. Usiłowania moje odniosły pomyślne owoce. Za pomocą Bozką tak dalece w krótkim postąpiłem czasie, iż mię posłano do Turynu dla opowiadania tam słowa Bożego. Mistrz wszystkich zdolności i Pan Najdobrotliwszy, który raczył me serce do uznania prawdy nakłonić, pobłogosławił i ustom moim kaznodziejską żarliwością, abym też samę prawdę w języku Włoskim głosił, wielbil i utwierdzał. Jeźli moje kazania jaki-

kolwiek pożytek przyniosły, stało się to jedynie przez współdziałanie Ducha Świętego.

— Tak żyję sobie teraz szczęśliwie, korząc się co godzina przed świętym znakiem naszego zbawienia. A przypominając sobie dobrodziejstwa Bozkie, przypominając sobie mękę i śmierć Zbawiciela podwajam swoje modły o nawrócenie biednej mojej matki. I innych niewiernych nie wyłączam z swej modlitwy, gdyż nikt nie może być zbawiony, oprócz na łonie Kościoła katolickiego, ani też bez środków przezeń przepisanych. Stanąwszy już w Szkocyi, oświadczcież matce mojej, iż ów syn, którego się ona wyparła, którego ona za hańbę swej familii poczytuje, tak jest szczęśliwym, że sobie tego nawet sama wyobrazić nie zdoła. O powiedzcież jej, szlachetny Panie, że najgorętszem mojem jest życzeniem, aby jej Bóg ciągle błogosławił i aby wreszcie oświecić raczył, iż nic mię nie zdoła przymusić do usunięcia się od słodkiej służby Chrystusowej.

— Księże Archaniele! — rzekł na to Edward. — Słuchałem Was z prawdziwą uwagą; jednakowoż truchleję na samą myśl, kiedy to hrabinie Lesley opowiadać będę. O jakiż nowy smutek czeka Waszej matki! A jakże się zatrwoży, kiedy jej opiszę wrażenie, jakie Wasza mowa w sercu mojem wyryła!

— Oby się te wrażenia, — rzekł na to Archanioł, — coraz głębiej w jej duszę zapuszczały a były powodem ziszczenia gorących i jedynych mych życzeń!

Tu zamilkł i Edward i pogrążył się w myślach głębokich. Poznać można było wielkie w niem wzruszenie. Długo walczył sam z sobą. Wreszcie się rzucił w objęcia Archanioła i zawołał płaczliwym głosem:

— O mój bracie!

Więcej wymówić nie był w stanie. Tak bardzo rozczulił się Edward.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Niezadowolenie okazało się wnet pod inną postacią: W dniu 11 marca 1783 ukazała się dobrze ułożona proklamacya w obozie amerykańskim (pod Newburgiem), w której pobudzano wojsko do demonstracyi przeciw kongresowi, aby go w ten sposób przymusić do zapłacenia zaległości. Burzę tę załatwił sam Washington, który zwoławszy konferencyę oficerów, przedstawił im całą sprawę w

świetle prawdziwem. Wkrótce potem zapłacono oficerom pensyę za pięć lat, a żołnierzom żołd za cztery miesiące. W ogóle brało udział w wojnie 230,000 żołnierzy kontinentalnych i 56,000 milicyi.

Anglicy, jak wiadomo, opuścili New York w dniu 25 listopada 1783. W dniu 4 grudnia zwołał Washington jeszcze w służbie pozostałych oficerów do swojej kwatery na Broad i Pearl ulicy i pożegnał ich, poczem się udał do Annapolis w Maryland, gdzie właśnie kongres się znajdował i złożył w dniu 23 grudnia naczelnictwo nad całem wojskiem, które mu w dniu 16 czerwca 1775 powierzono.

Wojna się zakończyła, pokój był zabezpieczony, lecz ludowi pozostała jeszcze trudna praca zuorganizowania spraw publicznych. Wielki dług, zaciągnięty za granicą i w kraju, ciężył na Stanach Zjednoczonych, a dotychczasowe ustawy nie dozwalały kongresowi go znieść, choćby był miał środki do tego. Pojedyńcze stany usiłowały znieść swoją część długu przez opodatkowanie, lecz cóż, każdy zubożał tak przez wojnę, że nawet nie było można zapłacić żołnierzom zaległego żołdu.

Usiłowania władz prawodawczych zniesienia choć części długu, wywołały w różnych stanach niepokoje, a pewna część ludu w Massachusetts zbuntowała się nawet w r. 1787. Daniel Shays, były kapitan, udał się na czele 1000 ludzi do Worcester, zajął ratusz i nie dozwolił sądowi wyższemu odbywać posiedzeń. Gubernator Rawdon widział się zmuszonym przywołać kilka tysięcy milicyi pod dowództwem jenerała Lincoln, który uwięził 150 buntowników; reszta się rozpierzchła. Uwięzionych, z których kilku skazano już na śmierć, uwolniono później, gdyż widziano, że cały lud z nimi sympatyzuje.

Krótko przed zawarciem pokoju zaproponował nuncyusz papiezki w Paryżu Franklinowi, aby został zamianowany dla Stanów Zjednoczonych wikaryusz apostolski. Kongres uwiadomiony o tem, odpowiedział, że to sprawa religijna, do której nie ma prawa się mięszać. Okazuje się więc, że już wtenczas myślano o zupełnem odłączeniu kościoła od państwa. Ojciec św. zamianował następnie wikaryuszem apostolskim ks. John'a Carrol, który został konsekrowany biskupem Stanów Zjednoczonych. W tym samym czasie został zamianowany biskupem kościoła anglikańskiego Samuel Seabury, pastor w New London.

Dawno już poznano, że artykuły związku, choć wystarczające podczas wojny, nie odpowiadały dłużej nowemu położeniu. Uznano, że władza wykonawcza powinna być więcej neutralizowaną. Lud tracił szacunek dla władzy kongresu, przez co dużo cierpiały interesa handlowe kraju. Poczęto więc myśleć o planie ściślejszego związku pojedyńczych stanów i ustanowienia rządu centralnego na zasadach proklamacyi niepodległości.

Za radą Washingtona, który się obawiał, że państwo, którego ustalenie kosztowało tyle krwi, runie, jeżeli się nie przedsięweźmie środków, któreby temu zapobiegły, zwołano konwencyę do Annapolis w stanie Maryland (11 września 1786). Pięć tylko stanów: Virginia, Delaware, Pennsylvania, New Jersey i New York przysłało swych zastępców. Odroczono konwencyę aż do maja przyszłego roku. Miejscem konwencyi miała być Philadelphia. Tam zgromadzili się w oznaczonym czasie reprezentanci wszystkich stanów, wyjąwszy New Hampshire i Rhode Island. Washington został obrany prezydującym. Na konwencyi przekonano się, że dotychczasowe artykuły nie odpowiadają już czasom i dla tego zajęto się wypracowaniem nowej konstytucyi. Po dłuższych debatach wybrano komitet szczegółowy, który w dziesięciu dniach wypracował program konstytucyi. Program ten zmieniono jeszcze i oddano go pod rozwagę pojedyńczym stanom. Znalazł on jeszcze wielu przeciwników, lecz z czasem podpisali go delegaci jedenastu stanów. Kongres wyznaczył nareszcie dzień, w którym miano wybrać ludzi, którzy ze swej strony mieli wybrać prezydenta i wiceprezydenta rzeczypospolitej. W środę 4 marca 1789 zakończył stary kontynentalny kongres swe czynności, a konstytucya narodowa stała się organicznem prawem rzeczypospolitej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)